

Pan Historii i prawa człowieka

Jan Paweł II pokazał przekonująco, że zasadnicza kontrowersja nie polega na tym, czy demokratyczna wspólnota polityczna będzie „chrześcijańska” czy „świecka”. Różnica wizji polega na tym, czy ta wspólnota polityczna będzie oparta na zasadach etycznych, czy też będzie dążyła do autonomii także wobec porządku moralnego.

Wystąpienie Jana Pawła II w polskim parlamencie zostało – najzupełniej słusznie – uznane za wydarzenie bezprecedensowe. Największy współczesny autorytet Polaków, pełniący urząd o znaczeniu globalnym, a mimo to niezwykle zaangażowany w sprawy swej Ojczyzny – wystąpił przed połączonymi izbami parlamentu.

Uderzające jest jednak, że wypowiedziane w parlamencie słowa nie stały się przedmiotem szczególnego namysłu. Zwróciliśmy uwagę na symboliczny fakt – i słusznie, bo ze wszech miar na to zasługuje. Nie podjęliśmy jednak szczególnego namysłu nad papieskim przemówieniem, mimo że nie było ono bynajmniej jedynie kurtuazyjne. Zawiera w istocie zwięzły wykład współczesnej katolickiej wizji wspólnoty politycznej.

Papież posłużył się językiem „świeckim” – mówił o demokracji, wolności, prawach człowieka, państwie. Potrafił jednak w tym właśnie języku, powszechnie zrozumiałym, wyrazić wizję na wskroś

chrześcijańską, choć możliwą do przyjęcia bez względu na wyznanie lub jego brak. Do rangi symbolu urasta powiązanie przez Jana Pawła II swych słynnych, wypowiedzianych na ówczesnym warszawskim placu Zwycięstwa słów: „Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!” – z językiem praw człowieka. W papieskiej interpretacji odnowa nastąpiła za sprawą Ducha Parakleta – poprzez tych, którzy „byli zjednoczeni tą samą troską o prawa człowieka”.

Charakterystyczne – nie tylko zresztą dla tego wystąpienia – było silne osadzenie papieskich słów w historii. W przemówieniu pełno odniesień do konkretnych wydarzeń historycznych, które Jan Paweł II umieścił w szerokiej, eschatologicznej perspektywie. Ludzkim dziejami – osób i całych narodów – kieruje Pan Historii, którego działanie ujawnia się w konkretnych wydarzeniach historycznych. Papież ominął pułapki partykularyzmu – z jednej strony, i ahistorycznej wizji, w której trudno znaleźć miejsce na konkretne wydarzenia z naszych – jednostkowych i narodowych – dziejów.

Ta perspektywa tylko pozornie jest oczywista. W praktyce często popadamy bądź w jedną skrajność, traktując Pana Boga jako instrument narodowych dziejów, bądź też – w obawie przed partykularyzmem – nie staramy się szukać ostatecznego sensu w konkretnych wydarzeniach historycznych. Papieska wizja historii, o której dużo (ale zwykle nudno) napisano, zakłada ciągłe odnajdywanie woli Pana Historii w dziejach, widzenie ludzkich czynów jako współpracy z Bożą łaską.

Przez papieskie przemówienie przewija się katalog problemów, które powinny stać u podstaw naszego myślenia o życiu zbiorowości. Jest tu więc mowa o odpowiedzialnym korzystaniu z wolności, o duchu służby

dobru wspólnemu, o dobru człowieka i jego godności, które powinny stać w centrum działalności państwowej. Owszem, te wszystkie słowa odmieniane są przez wszystkie przypadki, trudno jednak uznać, by stały się one rzeczywistym źródłem inspiracji dla poważnej debaty o państwie i wspólnocie politycznej. Jeszcze mniej inspirują one konkretne działania większości polityków, którzy często uznają je za oderwane od realiów mrzonki. Tymczasem upragniona przez wielu moralna przemiana nie zacznie się inaczej niż poprzez poważne potraktowanie tych kwestii – nie jako problemów w złym sensie tego słowa akademickich, ale jako rzeczywistej podstawy do poważnej dyskusji i działania.

Jan Paweł II pokazał przekonująco, że zasadnicza kontrowersja nie polega na tym, czy demokratyczna wspólnota polityczna będzie „chrześcijańska” czy „świecka”. Różnica wizji polega na tym, czy ta wspólnota polityczna będzie oparta na zasadach etycznych, czy też będzie dążyła do autonomii także wobec porządku moralnego. Oczywiście, wizja papieska jest tu jednoznaczna: „Szanując właściwą życiu wspólnoty politycznej autonomię, trzeba pamiętać jednocześnie o tym, że nie może być ona rozumiana jako niezależność od zasad etycznych”.

To rozróżnienie zupełnie zasadnicze – zwłaszcza dziś, gdy szczególną popularność zdobywa wizja demokracji czysto proceduralnej. W bardziej wyrafinowanej intelektualnie wersji głoszą ją liberalne elity, w mocno uproszczonej – masowe media, w całkiem prostackiej pojawia się w myśleniu potocznym, właściwym zresztą bynajmniej nie tylko „zwykłym ludziom”, ale także tym, którzy nominalnie zaliczać się powinni do elit.

Najbardziej jaskrawym tego wyrazem jest powszechna – przynajmniej do niedawna – obrona polityków oskarżonych o czyny niegodne, że ich działanie jest zgodne z prawem, a dopóki nie zapadł prawomocny wyrok, obowiązuje wobec nich domniemanie niewinności. W tej perspektywie jedyną płaszczyzną oceny działań podejmowanych w sferze publicznej jest prawo. Dodajmy: prawo zwykle bardzo wąsko, pozytywistycznie rozumiane – jako zestaw przepisów, który jest interpretowany z punktu widzenia interesów działającej jednostki czy grupy, a nie – dobra wspólnoty. Jakiegokolwiek inne płaszczyzny odniesienia są w tej perspektywie eliminowane. Oczywiście, politycy dopuszczają się czynów nieetycznych nie z powodu przyjętej koncepcji demokracji, jednak jej proceduralna wizja dostarcza im dobrego alibi, a tym, którzy nie wnikają w aksjologiczne niuanse – daje poczucie, że twórcy prawa nie są w istocie niczym związani i mogą bez przeszkód kierować się własnym, doraźnym interesem. Trudno w tej sytuacji, by nie tylko sami politycy, ale i cały system polityczny mógł budzić czyjkolwiek szacunek.

Proceduralna wizja demokracji okazuje się zupełnie bezbronna wobec działań nieetycznych, które mają aprobatę większości. W skrajnym wypadku może tu chodzić o otwarty zamach na demokrację w wykonaniu ugrupowań, które do władzy dochodzą przy pomocy mechanizmów demokratycznych, aby następnie je zanegować, gdy tylko znajdą ku temu możliwości. Częściej chodzi jednak o czyny dużo mniej spektakularne, a jednak na dłuższą metę zamieniające demokrację w fasadę. Osoby niegodne pełniące funkcje publiczne – bezpośrednio z wyboru lub też z nominacji demokratycznie wybranej większości – powinny być eliminowane, kiedy wyborcy zorientują się w ich sprawkach. Powinny, ale – jak powszechnie wiadomo – często nie

są. Czysto proceduralna wizja demokracji nie pozwala nawet uzasadnić, dlaczego właściwie nieuczciwy a popularny polityk czy urzędnik powinien ustąpić.

W swym przemówieniu Papież przytoczył swoje własne słowa, których użył aż w dwóch encyklikach – *Centesimus annus* i *Veritatis splendor*. Rzadki to przykład papieskich autocytatów, i to piętrowych. Znak to wyraźny, że słowa te miały dla Jana Pawła II szczególne znaczenie. Brzmiały one: „Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”.

Totalitaryzm jawny nie wydaje się bezpośrednio zagrażać światu – choć być może jest to nadmierny optymizm. W każdym razie przestrogi Jana Pawła II warto potraktować poważnie także i w tej części, która dotyczy totalitaryzmu jawnego, nawet jeśli pojawienie się nowej formy takiego ustroju nie wydaje się zbyt prawdopodobne. Zagrożenie jest tak zasadniczej natury, że nawet niewielkie prawdopodobieństwo nie powinno osłabić naszej czujności.

Mechanizmy tworzenia się totalitaryzmów są złożone i pozostają przedmiotem sporów. Poszczególne przypadki różnią się zresztą między sobą – tak jak różnią się między sobą znane nam totalitaryzmy. Mechanizm polegający na obaleniu pustej, wydrążonej, pozbawionej wartości demokracji, której mało kto lub zgoła nikt w decydującej chwili gotów jest bronić, jest zagrożeniem ze wszech miar realnym. W najbardziej wyrazisty sposób objawiło się to w wypadku dojścia do władzy Hitlera.

Bardziej palącym problemem wydaje się jednak groźba przekształcania się wyjałowionej, pozbawionej odniesień do wartości demokracji w coś,

co Jan Paweł II nazwał „totalitaryzmem ukrytym”. Jak się wydaje, chodzi o zjawisko takiego przekształcenia demokratycznego systemu społecznego i politycznego, w wyniku którego pozostaje on demokratycznym tylko z nazwy i pozorów, przemieniając się tak dalece, że uzasadnia to uznanie go za „zakamuflowany totalitaryzm”.

Przyznam się, że cytowane zdanie sprawia mi poważny problem. Nie chodzi o samą myśl – ta jest niewątpliwie słuszna. Wystarczy odwołać się do powszechnej w dzisiejszej cywilizacji atlantyckiej legalizacji aborcji i stopniowo torującemu sobie drogę uznaniu legalności eutanazji. Jedno i drugie oznacza, że grupy istot ludzkich pozbawiane są – zgodnie z wszelkimi procedurami, a jakże! – prawnej ochrony właściwej ludziom. Oznacza to ich oficjalne „odczłowieczenie”, urzędową odmowę dostrzeżenia w nich istot ludzkich. W wypadku aborcji posunięto się do manipulacji językowej, zgodnie z którą „płód” przestaje być jedynie określeniem fazy w rozwoju organizmu ludzkiego, a staje się – w ustach i pod piórem zwolenników tej tendencji – bytem odrębnym od człowieka, by odwołać się do listu polskich intelektualistów sprzed lat kilkunastu – „bytem potencjalnym i niepewnym”. Terminalnie chorym lub choćby tylko skrajnie zniechęconym do życia nie odbiera się człowieczeństwa wprost, ale de facto spotyka ich to samo, skoro w ten sam sposób co dzieci poczęte pozbawia się ich prawnej ochrony na równi z innymi ludźmi.

Oczywiście zmiany w prawie są jedynie ukoronowaniem ewolucji duchowej i mentalnej. Bez niej nie byłaby możliwa tak skuteczna kampania na rzecz legalizacji zabijania, że prawo do aborcji lub tzw. godnej śmierci zaczynają być wymieniane w katalogu praw człowieka. Innym symptomem tej mentalnej ewolucji jest dopuszczenie na równych prawach w publicznej debacie zwolenników dzieciobójstwa, takich jak choćby Peter Singer, którego definicja człowieka jest tak „specyficzna”, że dorosłego szympansa uznaje za obdarzonego

przymiotem człowieczeństwa w większym stopniu niż ludzkie niemowlę. Tego rodzaju aberracje uznawane są, owszem, za poglądy skrajne, ekscentryczne, nie wywołują one jednak takiego odrzucenia, na jakie – najzupełniej słusznie – napotyka np. poglądy rasistowskie. Wszystko to każe patrzeć z dużym niepokojem na perspektywy dalszej ewolucji mentalnej naszej cywilizacji.

Wszystko to dzieje się w czasach, w których wyczulenie na prawa jednostki osiąga rozmiary niespotykane wcześniej. Ten akurat aspekt cywilizacyjnej ewolucji uznać należy za zdecydowanie pozytywny, nawet jeżeli towarzyszą mu nierzadko nieporozumienia czy wręcz aberracje. Per saldo to dobrze, że zjawiska, które dawniej nie budziły poważniejszej refleksji, dziś postrzegane są jako nie do przyjęcia. Wystarczy tu wspomnieć choćby szczególne wyczulenie na dyskryminację kobiet czy naruszanie praw dzieci. Ogólnie pozytywnej oceny tej tendencji nie są w stanie zmienić ekscesy feminizmu ani też wizja rodziny, której członkowie niczym zwaśnione grupy społeczne miałyby negocjować swoje wzajemne roszczenia. Te i wiele innych szkodliwych zjawisk nie zmienia w moim przekonaniu generalnie pozytywnej oceny zwiększonego uwrażliwienia na naruszanie praw, których dawniej w ogóle nie dostrzegano.

Na tym tle szczególnie uderzające jest arbitralne wyłączenie spod tej wzmożonej wrażliwości całych grup, i to właśnie istot najśłabszych. Większość ludzi korzysta z ochrony praw w stopniu dawniej nieznanym, inni zaś tracą ją zupełnie. Wśród cywilizacji Basenu Morza Śródziemnego w czasach hellenistycznych jedynie Żydzi nie praktykowali dzieciobójstwa. Dziś, po ponad dwóch tysiącach lat, cywilizowana Europa znów dopuszcza zakwestionowanie tego tabu.

Jest więc dość powodów do – co najmniej – niepokoju. Związek tej niepokojącej ewolucji właśnie z rozpowszechnianiem się proceduralnej

wizji demokracji jest niewątpliwy. Uznanie, że wspólnota polityczna może ustanowić dowolne zasady, byle tylko dotrzymane były demokratyczne procedury – odbiera praktycznie możliwość oceny treści postanowień przyjętych w tym trybie. Kryteria oceny mogą być tylko wniesione z zewnątrz – demokracja nie jest w stanie wyprodukować ich sama. Oczywiście, treść owych kryteriów pozostaje przedmiotem niekończącego się i nierozstrzygalnego raz na zawsze sporu. Możliwe są też nadużycia, kiedy demokratycznie podjęte ustalenia mogą zostać zakwestionowane pod pretekstem ich niezgodności z owymi wniesionymi z zewnątrz zasadami. Nie jest też jasne, kto ma ustalać owe kryteria. Wszystko to prawda, i nie można powiedzieć, że zastrzeżenia zwolenników demokracji proceduralnej są absurdalne. Jednak demokracja oparta na wniesionych z zewnątrz, materialnych (a nie tylko formalnych) wartościach daje przynajmniej szansę, że uda się zminimalizować nadużycia, unikając arbitralności demokratycznych rozstrzygnięć.

Zgadając się więc w pełni z treścią papieskiego zastrzeżenia, nie jestem przekonany, czy nazywanie tego zagrożenia „zakamuflowanym totalitaryzmem” jest najszcześniejsze. Termin „totalitaryzm” określa konkretny typ systemów politycznych. „Jawny totalitaryzm” daje się opisać w kategoriach prawa, socjologii, politologii. „Totalitaryzm zakamuflowany”, by użyć papieskiego określenia, z zewnątrz wygląda jak normalna demokracja, więcej – dla grup uprzywilejowanych, stanowiących zdecydowaną większość społeczeństwa, demokracją rzeczywiście jest. Złowroge cechy są zwykle dość skutecznie zamaskowane – nie tylko na poziomie instytucji, ale także myśli, idei, języka. Aby dostrzec te właśnie cechy, trzeba zejść głębiej niż na poziom analizy instytucji.

Wszystko to sprawia, że mamy tu raczej do czynienia ze zjawiskiem jakościowo odmiennym niż totalitaryzm i wymagającym nowej nazwy.

Na razie nikt jej nie zaproponował. Owszem, demokracja bez wartości zamienia się w coś okropnego, nazywanie jednak tego zjawiska „ukrytym totalitaryzmem” może rodzić nieporozumienia. Ułatwia też ataki skierowane przeciw papieskiej wizji.

Najczęściej cytowanym fragmentem papieskiego wystąpienia przed Zgromadzeniem Narodowym jest jednak inne zdanie, chyba najbardziej „polityczne” – w sensie odniesienia do konkretnego procesu politycznego. Zdanie to – chyba jedyne, które wielu powtarza z pamięci – brzmi: „Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską”. Nawet jeśli nie jest to fraza najbardziej fundamentalna w tej wypowiedzi, trudno się dziwić jej popularności: Jan Paweł II rzadko wypowiadał się na tematy polityczne aż tak bardzo wprost. Uczynienie wyjątku akurat dla tej kwestii było tym bardziej uderzające, że stanowi ona przedmiot poważnych kontrowersji w opinii publicznej, w tym – w środowiskach katolickich. Mało tego: właśnie z kręgów katolickich wywodzą się szczególnie wyraziste i politycznie zorganizowane środowiska antyunijne, i właśnie obrona trwającej w naszym narodzie wiary przed zlaicyzowaną Unią jest głównym uzasadnieniem ich sprzeciwu wobec niej.

Dlaczego więc Jan Paweł II tak mocno wypowiedział się na rzecz naszego przystąpienia do UE? Wyjaśnieniem – choć dość skrótowym – służyć może następane zdanie papieskiej wypowiedzi: nasze bogactwo duchowe i kulturowe oraz dziejowe doświadczenie mogą się przyczynić do dobra ludzkości, a zwłaszcza – pokoju i bezpieczeństwa w Europie. Jan Paweł II położył więc wyraźny nacisk na to, co my możemy wnieść do jednoczącej się Europy. Warto zwrócić uwagę na tę perspektywę, która często bywa zbywana sloganami o „polskim mesjanizmie”. Najwyższy autorytet Polaków zwrócił nam uwagę, że możemy coś wnieść, a nie tylko – dostosować się do oczekiwań naszych bogatszych

partnerów.

Złożony z dwóch akapitów siódmy punkt papieskiego wystąpienia mógłby stać się punktem wyjścia do postulowanej przez wielu dyskusji o naszej koncepcji uczestnictwa w europejskich strukturach. Mógłby, ale wciąż – mimo upływu kilku lat – się nie stał: wspomniana dyskusja wciąż bardziej pozostaje postulatem niż faktem. Papież tymczasem wskazał kilka istotnych punktów, od których można by zacząć tę debatę.

Po pierwsze – Jan Paweł II mówił nam, że w świecie i w Europie toczy się proces postępu i rozwoju. Przyznam się, że słowo „postęp” po latach komunizmu nie kojarzy mi się najlepiej, a ponadto tak jednoznaczne z definicji słowo nie bardzo chce mi pasować do opisu kierunku rozwoju świata – bardziej odpowiada mi teza Jacques’a Maritaina o dwukierunkowym postępie, ku dobru i ku złu równocześnie. Może jednak potrzebujemy wizji papieskiej – pełnej nadziei, a zarazem przechodzącej do porządku dziennego nad przejściowymi w końcu konotacjami słów. Przede wszystkim jednak – w tle papieskiego zdania kryje się realistyczna wizja zmieniającego się świata, do którego my, chrześcijanie, mamy wnosić to, co stałe i ponadczasowe. Powinniśmy jednak dostrzegać „znaki czasu” i na nie reagować. Musimy więc odnieść się do obecnego stanu świata i Europy, a jego częścią jest niewątpliwie proces integracji europejskiej.

Po drugie – Papież wskazał, że w tym procesie mamy prawo uczestniczyć. To ważne stwierdzenie. Teoretycznie wielu się z nim zgodzi, nie brak jednak postaw, a bywa, że i wprost wypowiedzianych opinii, wskazujących, że bogatsza część Europy w istocie robi nam łaskę, przyjmując nas do swego grona. O ile taki punkt widzenia nie

dziwi (choć smuci) u bogatszych i przerażonych perspektywą wtargnięcia nas, ubogich barbarzyńców – dziwi, że taki punkt widzenia my sami uznajemy nieraz za zrozumiałą, ba – nawet oczywistą. Jan Paweł II wskazał nam inną perspektywę: bez wywyższania się i megalomanii – mamy prawo. Nie mogę się zresztą oprzeć wrażeniu, zwłaszcza w świetle badań stereotypów i autostereotypów, że obawa przed właściwą nam jakoby narodową megalomanią jest zdecydowanie na wyrost. Bardziej grożą nam narodowe kompleksy.

Po trzecie – Jan Paweł II przypominał nam, że nasze doświadczenie może być przydatne innym, a nawet całej ludzkości. Jedną stroną tego stwierdzenia jest to, że w ogóle takie ważne doświadczenia mamy, drugą – że jesteśmy zobowiązani się nimi dzielić. Nie po to je w końcu otrzymaliśmy, żeby się nimi napawać, ale właśnie po to, by nimi służyć innym. Kryje się za tym wizja tyleż oczywista w chrześcijaństwie, co łatwo zapomniana: że doświadczenia – jednostkowe i zbiorowe – zawsze są „po coś”, że są nam one dane w jakimś celu. Warto więc, mało tego – powinniśmy rozważać, jakie wnioski płyną z naszych doświadczeń historycznych, czemu one służą, co z nich wynika. Ostatnie miesiące dostarczyły pozytywnych przykładów pójścia w kierunku wskazanym przez Jana Pawła II. Obchody sześćdziesiątej rocznicy Powstania Warszawskiego i dwudziestej piątej Sierpnia '80 dowodzą, że umiemy okazywać słuszną dumę z naszych osiągnięć, traktując je właśnie jako dar dla innych. Co więcej – okazuje się, że przedstawiciele „lepszego świata”, nie szczędzący nam na co dzień lekceważenia, a w najlepszym wypadku obojętności – przynajmniej od święta traktują nas poważnie. Może więc coś zmienia się na lepsze?

Po czwarte wreszcie – akcent w papieskiej wypowiedzi padł na umocnienie pokoju i bezpieczeństwa. Ta strona integracji europejskiej była niewątpliwie zasadniczym elementem wizji ojców założycieli zjednoczonej Europy, później zaś stała się tak oczywista, że aż często

zapominana. Warto uświadomić sobie, że coś, co dziś wydaje nam się oczywiste – nieprawdopodobieństwo wojen w zjednoczonej Europie – jest dobrem rzadkim i bardzo świeżej (historycznie) daty. Dziś my, Europejczycy – na równi „starzy” i „nowi” – skłonni jesteśmy traktować to jako rzecz daną i właściwie nie wymagającą ani starań, ani refleksji. Bezpieczeństwo już mamy, teraz skupmy się na dobrobycie – dość zgodnie uznaje większość Europejczyków. Jan Paweł II przypominał nam zapominany często wymiar europejskiej integracji. Przypominał – uświadamiając, że my także możemy naszym doświadczeniem przyczynić się do umocnienia tego wymiaru. Jak bardzo to jest istotne, widać dziś szczególnie wyraźnie, gdy uświadomimy sobie trudności z określeniem roli Europy właśnie w utrzymaniu pokoju i bezpieczeństwa, gdy widzimy konflikty na tym tle.

To wszystko i pewnie wiele więcej mówił nam Jan Paweł II w krótkich słowach poświęconych udziałowi Polski w integracji europejskiej. Jak dotąd nie widać, byśmy z tych myśli umieli należycie skorzystać. Widać raczej z jednej strony – eurofobów – gorączkowe wysiłki dla wykazania, że Papież w istocie powiedział w tej sprawie zupełnie coś innego, niż powiedział naprawdę, z drugiej zaś – euroentuzjastów – powtarzane, niczym mantra, z satysfakcją papieskie słowa – tak jakby rzeczywiście chodziło w nich o przyznanie komuś racji, a nie o pobudzenie do samodzielnego myślenia i debaty.

To samo zresztą odnieść można do całości papieskiej wypowiedzi. Jak dotąd, niespecjalnie umieliśmy skorzystać z bogactwa zawartej w niej treści. Może i powinna odegrać rolę inspirującą – w czasach gdy tyle w nas frustracji z powodu doraźności królującej w życiu publicznym, nie tylko polskim zresztą. Papież dostarczył nam znakomity punkt wyjścia

– nie do antologii cytatów, a do dalszego myślenia. Kierunek został wskazany. Pozostaje – bagatela! – pociągnąć papieskie myśli dalej. Z pewnością nie jest za późno. Minęło zaledwie osiem lat.

Tomasz Wiścicki

Tekst pochodzi z rocznika Teologia Polityczna nr 3 pt. Pierwszy rok bezkrólewia